MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 5 | WARSZAWA 29 STYCZNIA 1939 R | CENA NUMERU 80 GR

Z BIEGIEM LAT

(WSPOMNIENIA O ROMANIE DMOWSKIM)

Jeśli powodziło mi się w bitwach, to dlatego iż ja i moi oficerowie stanowiliśmy jedno przyjacielskie grono. Admirał Nelson.

I

W ROKU 1890 poznałem między innymi trzech ludzi, z którymi żyłem długie latą w przyjaźni. Byli to: Jan L. Popławski, Jan Kasprowicz i Roman Dmowski.

Dwóch pierwszych poznałem w Krakowie podczas pamiętnych uroczystości pogrzebowych Mickiewicza, na które przybyłem z Genewy jako delegat „Zjednoczenia Towarzystw młodzieży polskiej", kształcącej się na wyższych uczelniach zagranicą. Dmowskiego nie było na owych uroczystościach, poznałem go więc w jakiś czas potem w Warszawie, gdzie spędzałem wakacje. Nastąpiło to na zebraniu miejscowej grupy „braci" „Związku młodzieży polskiej", do którego od paru lat należałem.

W Zetowej grupie warszawskiej nie brak było podówczas jednostek, wyróżniających się wśród młodzieży uniwersyteckiej, ale z nich Dmowski przedewszystkiem wpadał w oko każdemu, kto z nim po raz pierwszy się stykał, narzucał się bowiem uwadze z powodu ekspansywności swej natury, rzutkości myśli, dobrego humoru, a także stanowczości swych poglądów oraz daru rozstrzygania zawiłych sporów.

Do przybysza z zagranicy odniósł się Dmowski odrazu bardzo serdecznie, zauważyłem wszakże, iż wypytując mnie o stosunki wśród młodzieży zagranicznej i wyciągając na rozmowy idejowe, jednocześnie poniekąd mnie bada i egzaminuje. (Co zresztą, mówiąc nawiasem, stosował później i do innych).

Snać jednak egzamin wypadł dość korzystnie dla mnie, gdyż w krótkim czasie, byliśmy już z sobą na stopie przyjacielskiej. Dmowski umiał już wówczas jednać sobie ludzi, odczuwało się jednak, iż robi to nie tylko dla siebie, lecz i dla sprawy, jakiej był oddany.

Najczęściej spotykaliśmy się w redakcji „Głosu", którego zostałem od niedawna, jak i on, współpracownikiem. Roman niemal codziennie, przychodził tutaj piechotą z Pragi, i zaczynał rej wodzić, jak wśród młodzieży uniwersyteckiej.

Starszymi znacznie od Dmowskiego członkami „Głosu" byli — Józef Potocki (Marian Bohusz), Józef Hłasko i Jan Popławski. Ale rola Bohusza ściągała się do pisania znakomitych rozpraw filozoficznych i społecznych oraz do prawowania się z cenzorem. Hłasko zajęty był głównie administracją i wiązaniem końca z końcem, Popławskiego zaś pochłaniała praca publicystyczna (artykuły wstępne, polityczne i fejleton „Z kraju", wymagający odczytywania wielu pism), a oprócz tego zarobkowanie po za „Głosem" (przekłady). W takim stanie rzeczy Roman, mający po skończeniu uniwersytetu sporo swobodnego czasu, wskutek dynamizmu swej natury zaczął mieć nad nimi pewną przewagę niepostrzeżenie dla nich samych. Oczywiście wówczas nie mogło być mowy o jego przewadze umysłowej nad jednostkami tej miary, co owi trzej redaktorzy „Głosu", była to raczej przewaga ducha niezwykle ruchliwego, przedsiębiorczego, a zwłaszcza b. swobodnego wewnątrz siebie, nad ludźmi zakłopotanymi sprawami osobistego życia i zapracowanymi. Jakkolwiekbądź, gdy wchodziło się do redakcji i zastawało się w niej Romana, odczuwało się osobliwą atmosferę, w której jego ton dźwięczał wyraźniej i brał górę nad innemi.

Co się tyczy zresztą Popławskiego, to ten pierwszy ocenił wybitne zdolności Dmowskiego,

w zasadniczych sprawach był z nim wówczas w porozumieniu, szedł z nim zgodnie, a nawet nieraz ulegał mu, co się wyraziło niebawem w jego stosunkach z Aleksandrem Więckowskim, z którym zerwał, gdy Dmowski przekonał go o głębokich różnicach w ich poglądach na działalność narodową.

Z wakacyjnych stosunków z Romanem w 1890 roku przytaczam tu jeden osobliwy fakt, a to ze względu na osobę, która przez długie lata odgrywała znaczną rolę w życiu społeczeństwa warszawskiego.

Przez stryja mego, Aleksandra, zostałem wprowadzony na słynne „piątki" dr. Karola Benniego, gdzie się zbierała t. zw. „elita" różnych odłamów inteligencji miejscowej i przyjezdnej. Kiedyś dr. Benni poprosił mnie, żebym go zetknął z przedstawicielami młodego pokolenia, pomyślałem więc odrazu o Romanie, jako najodpowiedniejszym, on jednak niebardzo pragnął udzielać się większym zebraniom towarzyskim i wręcz mi odmówił. Na „piątki" tedy wprowadziłem mego kolegę genewskiego, Antoniego Bielińskiego, uprzedziłem przytem doktora, że gdy będzie mu chodziło o porozumienie się z młodzieżą w sprawach ważnych, to polecam mu Dmowskiego. Ale wkrótce tak się stało, że sam Roman zaproponował mi wspólne odwiedzenie dr. B., by przedstawić mu ustawę tajnego „Towarzystwa opieki nad młodzieżą szkolną" i pozyskać dla niego pomoc członków ze starszego społeczeństwa. Wybraliśmy się, przedstawiliśmy całą sprawę. Dr. Benni jednak uznał ustawę za b. niebezpieczną, odmówił swego poparcia i, odradzając nam akcji na rzecz projektowanego Towarzystwa, wyraził się patetycznie: „panowie, nie zapominajcie, iż nas, inteligencję, rząd rosyjski może zebrać jak śmietankę łyżeczką i... wyrzucić na Kamczatkę"...

Ledwieśmy nie parsknęli śmiechem, co zresztą nastąpiło później, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

W rok później ten sam typowy dla ówczesnych stosunków barokowy frazes patriotyczny usłyszał Roman drugi raz z ust dr. B., gdy ten, na wieść o zamierzanej manifestacji 3-go maja zwrócił się do niego (pojechał aż na Pragę) i przekonywał o konieczności zaniechania jej. Tym razem dr. B. wyszedł nic nie wskórawszy. Temi dwoma sprawami wyczerpały się stosunki Dmowskiego z dr. Bennim.

W następnym roku (1891), gdym bawił znowu w Warszawie podczas wakacyj, gdy miałem już powracać do Genewy, oświadczył mi Roman, że późną jesienią, w drodze do Paryża, dokąd wybiera się na dłużej, odwiedzi mnie, gdyż interesuje go życie młodzieży naszej w Szwajcarii, a przytem pragnie poznać T. T. Jeża i w rozmaitych sprawach rozmówić się z Z. Balickim. (Nie ręczę za to, czy Roman poznał Balickiego, gdy ten był w 1890 roku w Warszawie pod nazwiskiem Żółtowskiego; prędzej nie, Balicki bowiem, gdy nam zdawał później sprawę ze swego pobytu w Warszawie, mówił tylko o Popławskim, o Dmowskim natomiast ani wspomniał).

Jakoż w listopadzie otrzymaliśmy od kolegów z Zurychu wiadomość, że Dmowski bawi tu od kilku dni i wkrótce ma przybyć do Genewy. Gdy to nastąpiło, gdy na zebraniu „braci" Zetu zetknął się z Balickim, wówczas poprosił mnie, żeby jakoś tak urządzić, iżby mógł rozmówić się z nim na osobności.

Zaproponowałem więc mu wycieczkę we trójkę do Morney, miejscowości położonej już w Sabaudii, za „Małym Salewem", znanej mi dobrze, gdyż czasami odwiedzałem tam, razem z Balickim i dr. Hertykiem, Jerzego Plechanowa, przywódcę socjalistów rosyjskich, i słynną rewolucjonistkę Wierę Zasulicz, z którymi utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie.

By uniknąć większej ilości wycieczkowiczów, wybraliśmy dzień powszedni, a po paru godzinach nie męczącego marszu siedzieliśmy już w ustronnej górskiej kawiarni przy kawie. Tu Dmowski rozmówił się szczerze z Balickim w sprawie „Ligi Polskiej", wyłożył mu plan (opracowany wspólnie z Popławskim) reformy tej organizacji oraz konieczność oczyszczenia jej z żywiołów mało odpowiadających jej celowi. Głównym tematem dyskusji, jaka się wywiązała, było przeniesienie punktu ciężkości „Ligi" do kraju i rozwinięcie jej na szerokiej podstawie elementów narodowych trzech zaborów.

Po długiej dyskusji, w której Balicki b. słabo bronił swoich kolegów ze starej emigracji, doszedł Dmowski do zupełnego porozumienia. Powracali obydwa potem do Genewy w najlepszym nastroju, i odtąd, po zawarciu przymierza, zaczęli sobie mówić po imieniu. Nie trudno już było im razem przekonać później T. T. Jeża o potrzebie dokonania gruntownej reformy „Ligi", której ten był najpoważniejszym filarem na emigracji.

Słowem i w tym wypadku zaznaczyła się przewaga Romana nad innymi partnerami, zawsze jako tego *„l'homme qui bouge"* — jak powiada senator de Monzie — jako jednostki ruchliwej i pobudzającej innych do ruchu, dającej inicjatywę, a przytem dążącej wytrwale do wyraźnego celu i nieustępliwej.

W końcu listopada wyruszył Dmowski do Paryża. Ponieważ i ja, po uzyskaniu dyplomu uniwersyteckiego w Genewie, nosiłem się z myślą kontynuowania swych studiów w Paryżu, podążyłem więc tam w grudniu za nim. Wprost z dworca zajechałem do skromnego hoteliku na ulicy Flatters, gdzie Roman zamieszkał. Znalazłem wolny pokój obok jego numeru; sąsiadem naszym był słuchacz Instytutu rolniczego w Grignon, Władysław Grabski, ziemianin z poznańskiego (późniejszy senator, znany działacz narodowy), z którym prędko zaprzyjaźniliśmy się.

Wyjeżdżając z kraju do Paryża, nosił się Dmowski z zamiarem opracowania popularnego podręcznika biologii ogólnej; pokazywał nam nieraz plan tej pracy i często z nami o niej rozmawiał, właściwie jednak nie był nią zbytnio zajęty, i skończyło się na tem, że jej zaniechał.

Brał wprawdzie udział w życiu młodzieży polskiej (Towarzystwo „Spójnia"), z przyjemnością wszakże odrywał się od tego, czem był w kraju przesycony, i swój pobyt w stolicy świata chciał wyzyskać także i dla siebie, nie trzymając się w tem zresztą jakiegoś z góry powziętego planu.

Nie znał wówczas języka francuskiego, więc go się uczył; chodził ze mną często do biblioteki św. Genowefy, i czytywał tam książki nie zawsze treści biologicznej. Przede wszystkiem jednak interesowało go tętniące dokoła życie Paryża, oczywiście także i życie umysłowe. Pragnął, jak za-

wsze — ruchu, rozmaitości, nie znosił nudy i zastoju. Zachęcał mnie do towarzyszenia mu do Szkoły Antropologii i słuchania wykładów: fizjologa Mathias'a Duval'a, socjologa Letourneau i paru innych sław ówczesnych; ja natomiast wyciągałem go, w godzinach po południowych, między innemi do *„Collège de France"*, gdzie z dużą uwagą słuchał bardzo już ociężałego Ernesta Rénan'a (wykładał dzieje Izraela), znakomitego filozofa Boutroux, b. wziętego psychologa Th. Ribot'a, a także niezbyt ciekawego następcę na katedrze mickiewiczowskiej literatur słowiańskich, L. Léger'a. Komentował on podówczas „Pana Tadeusza", co ogromnie bawiło Romana, gdyż komentator był nieudolny i często nas śmieszył.

Poza tem wędrowaliśmy po Paryżu oglądając jego osobliwości; przystawaliśmy nieraz pod arkadami „Odeonu", gdzie przeglądaliśmy świeże wydawnictwa francuskie, albo nad brzegami Sekwany, gdzie ciągnęły się stragany bukinistów. Kończyły się tego rodzaju wałęsania w jakiejś kawiarni, najczęściej w *„Café Procope"*, słynnej z czasów W. Rewolucji, którą jeszcze w 1889 roku wskazał mi Z. Balicki.

W niedzielę i święta spędzaliśmy czas w liczniejszem gronie. Przyłączał się do nas W. Grabski i paru innych kolegów, zwiedzaliśmy razem Louvre, Luxembourg, Cluny i in. Sztuką współczesną Roman przejmował się dość umiarkowanie, ale już wówczas interesował się bardzo pomnikami starożytnych cywilizacyj Wschodu i przed niemi częściej się zatrzymywał w Louwrze, niż przed innemi jego zbiorami.

Porządnie znużeni szliśmy potem na obiad, obfitszy niż zwykle z racji święta, do popularnych *„Etablissements Duval"*, gdzie przy kawie i winie rozprawialiśmy o wrażeniach doznanych. Duszą tych naszych świątecznych wędrówek był Roman, który z werwą i humorem dzielił się z nami swojemi spostrzeżeniami, zawsze trafnemi i nie banalnemi.

Tak przeszło nam kilka miesięcy 1892 roku. W tym czasie, może w skutek niezbyt umiarkowanego zapału do wiedzy, zacząłem niedomagać, zaczęły mnie męczyć forsowne latania po ogromnym Paryżu z jednej uczelni do drugiej, siły mi widocznie ubywały. Roman zajął się mną wówczas bardzo poczciwie i w końcu zadecydował, że powinienem powrócić do Genewy, do środowiska dobrze mi znanego, spokojnego i tam dojść do siebie. Tak też zrobiłem. W parę miesięcy potem, w początkach sierpnia, w drodze powrotnej do kraju, przybył i on do Genewy. Cieszył go powrót do kraju, cichaczem jednak mówił, iż nie bardzo jest pewny szczęśliwego przekroczenia granicy. (Wiedział, że oskarżony jest o wywołanie manifestacji 3-go maja). Przewidywania jego, jak wiadomo, sprawdziły się: został aresztowany na stacji Granica i osadzony w Cytadeli warszawskiej. Dowiedziałem się o tem już w Lipsku, dokąd we wrześniu udałem się na dalsze studia [1]).

Powróciwszy z Lipska w końcu czerwca 1893 roku do Warszawy, znalazłem Romana używającego w niej od stycznia — po odsiedzeniu pięciu miesięcy w cytadeli — dozorowanej wolności. Nie powstrzymywało go to jednak od bardzo żywej działalności organizacyjnej, której rezultatem, między innemi, było dokonanie tego, co przed dwoma laty zamierzone zostało po rozmowie z Balickim podczas wycieczki górskiej do Morney. (Przekształcenie „Ligi Polskiej"). Rozmach życiowy Romana, jego fantazja sięgała nawet w tym czasie w sfery dość niezwykłe.

Oto z szczególniejszem amatorstwem chodził często do teatru „Rozmaitości" i pisywał w „Głosie" zwięzłe, ale dowcipne i cięte sprawozdania o sztukach tam wystawianych. Bawiło go to, i najpewniej wyrywało z obrębu niecierpliwiących myśli oraz z niepewności, związanych z wyczekiwaniem na wyrok, który wreszcie nastąpił w listopadzie. Został nim Dmowski wydalony z kraju na okres trzyletni bez prawa zamieszkania w granicach Polski z 1772 roku.

W tym samym czasie skazani również zostali na wyjazd z kraju: Bolesław Hirszfeld, zasłużony działacz oświatowy i inż. Tomasz Ruśkiewicz. Pozwolono im zamieszkać w Rydze, Romanowi zaś w Mitawie. Prędko zagospodarował się tam (wyjechał z siostrą) i, jak można było wnosić z zabawnych fejletonów, umieszczanych w „Głosie" pod pseudonimem: *„Don Diego Iguenaz"* (przeróbka z „Ignaca z Pragi" — jak był przez kolegów przezwany) — czuł się wcale nieźle, pogody i humoru nie tracił, umysł miał zrównoważony i pulsujący życiem. Posyłałem mu czasem co ciekawsze pisma warszawskie i korespondowałem z nim pod wskazanym adresem. Niekiedy odpisywał na moje listy (korespondencję tę niszczyłem w przewidywaniu rewizji, na którą niedługo czekałem), a czasami robił aluzje do mnie, właśnie w owych dowcipnych feljetonach, w których doszukiwaliśmy się nie raz ukrytego, konspiracyjnego znaczenia. Tak przeszło parę miesięcy.

W lutym 1894 roku władze „Ligi", mając na względzie przygotowywanie manifestacji z powodu stulecia powstania Kościuszkowskiego, wysłały mnie do Mitawy w celu pomówienia o tem wszystkiem z Dmowskim oraz przedstawienia mu stanu rzeczy w kraju. Zatrzymałem się w Rydze u Hirszfelda, gdzie już zastałem Romana. Nazajutrz wybrałem się do pobliskiej Mitawy, dla ostatecznego rozmówienia się z nim.

Rozmowa trwała długo, gdyż nie tyle dotyczyła obchodu Kościuszkowskiego (była to sprawa jasna i przesądzona), ile jego zamiarów na przyszłość.

Zwierzył się mi wówczas z powziętego postanowienia wyemigrowania do Lwowa, mówił o konieczności pracy w warunkach większej swobody, o założeniu poważnego pisma miesięcznego, poświęconego rozwojowi programu trójzaborowej polityki narodowej. Mówił o tem, jak o rzeczy dobrze przemyślanej, obliczonej na pracę długoletnią, jako o niezbędnem przedsięwzięciu, od którego wykonania uzależniał rozwój świadomości narodowej. Objawił się tu mi Dmowski, po raz pierwszy, już nie jako zdolny działacz „kółkowy" — że się tak wyrażę — lecz jak mąż dojrzały, z poważną zadumą wpatrzony w perspektywę swego życia, w związku nierozerwalnym z ogól-

[1]) Przybył tu w tym czasie Aleksander Więckowski z ustnemi poleceniami „Ligi" do mnie, żeby mu pomóc w kupieniu i wysłaniu do granicy rosyjskiej drukarni. Z kolegą St. Karpińskim (późniejszym prezesem Banku Polskiego) zajęliśmy się tą sprawą i drukarnię kupiliśmy. Jak się okazało była ona przeznaczona dla petersbuurskiej organizacji rewolucyjnej rosyjskiej (Pieszechonowa), z której ramienia Więckowski działał. Miał więc słuszność Dmowski, gdy go się chciał pozbyć z „Ligi", jako więcej oddanego sprawie rosyjskiej niż polskiej.

nem życiem narodu, jako człowiek przyszłego płodnego czynu, daleko sięgającej myśli i mocnego ducha.

Następnie odprowadził mnie do Rygi i tu serdecznie ze mną się żegnał. Wieczorem odjechałem do Warszawy. Zapowiedziane wypadki prędko następowały po sobie: manifestacje się odbyły, rozpoczęły się rewizje i masowe aresztowania ich uczestników, z redakcji „Głosu" Bohusz i ja dostaliśmy się naprzód do więzienia (na Chłodnej), a po kilku tygodniach, nas obu przewieziono do X-go pawilonu Cytadeli warszawskiej. W końcu sierpnia (1894 roku) otrzymałem wyrok, i w kilkanaście dni po tem byłem już w drodze do Orenburga, skąd zostałem przeznaczony do zauralskiego Wierchnie-Uralska (600 wiorst odległego od Orenburga). Już tam doszła mnie wieść od przyjaciół, że Romanowi udało się w końcu 1894 roku, szczęśliwie dotrzeć do Lwowa. Jak się później dowiedziałem odbyło się to tak: W sandomierskiem mieliśmy wówczas zwolenników wśród młodszych ziemian; jeden z nich, Marian Kiniorski, spotkał się z Romanem w oznaczonem miejscu, zawiózł go do Sobótki, majątku szwagra mego, Gustawa Ośniałowskiego, skąd już za przepustką furmana dworskiego, via Sandomierz — przekroczył granicę.

Ponieważ w kilka miesięcy po nim to samo udało się Janowi Popławskiemu, który po nas był aresztowany i odsiadywał Cytadelę, wspominam tu o tem, gdyż nie wszyscy wiedzą, w jaki sposób zostało to dokonane. Wielką zasługę w tem miała pani Filipkowska, żona znanego przemysłowca warszawskiego, która znała dobrze generała żandarmów Brock'a, pysznego i wzgardliwego barona bałtyckiego. Przyjaciele nasi dotarli do p. Filipkowskiej, która podjęła się pomówić z Brockiem w sprawie uwolnienia Popławskiego za kaucją. Na zapytanie Brock'a: „czy pani może zaręczyć, że zwolniony Popławski nie zemknie zagranicę?— szlachetna i dzielna kobieta odpowiedziała szczerze — „nie ręczę za to". Skutek był niespodziewany: Brock uśmiechnął się znacząco, ale Popławskiego uwolnił za kaucją. Dzięki tego rodzaju sprzyjającym okolicznościom dwaj najwybitniejsi działacze narodowi znaleźli się wkrótce razem we Lwowie — i rozpoczęli tę ofiarną pracę której się zawdzięcza odrodzenie narodowe.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

DZIEJE ŻYCIA DMOWSKIEGO

(Dokończenie)

DZIAŁALNOŚĆ Komitetu z Romanem Dmowskim, jako prezesem, na czele zmierzała do postawienia sprawy polskiej przez koalicję w myśl programu państwa zjednoczonego z własnym dostępem do morza. Dnia 23 lutego 1918 r. wręcza Dmowski Komitetowi etnograficzno-historyczno-programową mapę Polski, opracowaną przezeń, a wykonaną przez francuskich kartografów wojskowych.

ARMIA POLSKA WE FRANCJI

Dzięki wysiłkom Romana Dmowskiego już 4 czerwca 1917 r. rząd francuski wydał dekret w sprawie tworzenia armii polskiej na ziemi francuskiej. Zaczęto więc gorączkową pracę organizacyjną. W wyniku tej pracy dnia 22 czerwca 1918 roku odbyło się w Szampanii wręczenie sztandarów ofiarowanych wojsku polskiemu przez cztery miasta francuskie: Paryż, Verdun, Belfort i Nancy. Sztandary wręczał Roman Dmowski w obecności prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, wypowiadając przy tym akcie głośno ideę, długo noszoną w sercu: „Walczycie o to, by ojczyzna nasza, rozdarta, podzielona przez sąsiadów, była napowrót jedną tak, jak jest jedną w naszych sercach".

Dnia 28 września 1918 roku nastąpiło pomiędzy rządem francuskim a Komitetem Narodowym urzędowe porozumienie w sprawie armii polskiej, odtąd samodzielnej, współwalczącej i sprzymierzonej pod władzą Komitetu, który mianuje wodza naczelnego. Po uznaniu przez rząd francuski polskiej armii za samodzielną, uznały ją w dniu 11 października także pozostałe państwa koalicyjne.

W miesiącu sierpniu 1918 r. wyjeżdża Roman Dmowski do Ameryki. W Ameryce działa wśród Polaków, jak również i wśród polityków amerykańskich.

Zawieszenie broni w dniu 11 listopada 1918 roku zastało Dmowskiego poza oceanem.

NA KONFERENCJI POKOJOWEJ

Dnia 23 listopada 1918 roku, już po rozpoczęciu się obrad konferencji pokojowej powraca Dmowski do Paryża. Polska znalazła się w Wersalu wśród państw sprzymierzonych i stowarzyszonych na podstawie uchwały wersalskiej z dnia 3 czerwca 1918 r. i uznania Komitetu Narodowego przez rządy koalicyjne za przedstawicielstwo oficjalne narodu polskiego. Pierwszym delegatem Polski na konferencję pokojową został Roman Dmowski.

Odtąd przez rok blisko trwa żmudna i uporczywa walka dyplomatyczna Dmowskiego, prowadzona w warunkach nader ciężkich, wśród ciągłych knowań przeciwpolskich ze strony żydostwa całego świata, Niemców oraz im oddanych.

Dnia 29 stycznia 1919 roku Roman Dmowski po raz pierwszy w tak zwanej Radzie Dziesięciu, po zobrazowaniu szczegółowem sytuacji we wszystkich dzielnicach Polski, na życzenie Clemenceau rozwinął zasadniczy program, zawierający nasze żądania terytorialne na zachodzie i wschodzie. Świetne w formie i treści exposé Dmowskiego, wygłoszone w języku angielskim i francuskim wobec areopagu najpoważniejszych mężów stanu całego świata, głębokie wywarło wrażenie. W dniach 28 lutego i 3 marca 1919 roku wręcza Dmowski komisji do spraw polskich noty, odpowiadające treści jego exposé z 29 stycznia. Dnia 15 kwietnia 1919 r. Komitet Narodowy, wobec faktu, że istniał rząd legalny i sejm, postanowił się jako reprezentacja narodu polskiego zlikwido-

wać i różne swe urzędy przekazać Delegacji Polskiej. Delegacja Polska z prezesem Dmowskim na czele dzielnie walczy o interesy polskie na Kongresie Pokojowym. Sprawa granicy zachodniej, zdecydowanie postawiona przez Dmowskiego, pochłania olbrzymią część wysiłków delegacji. Same noty, które Dmowski pisał bezpośrednio, bądź też za jego wskazówkami były pisane, tworzą spory tom. Dzięki pracy Dmowskiego Polska zyskuje dużą część Prus Zachodnich z kaszubskim brzegiem morskim.

Drugi okres walki rozpoczyna się, gdy Niemcy otrzymawszy dnia 7 maja 1919 r. pierwszy projekt warunków pokoju, poruszają wszystkie sprężyny aby osiągnąć zmianę na swoją korzyść. Lecz i tym razem wygrywa Delegacja Polska dzięki Dmowskiemu. Praca delegatów, a w szczególności Dmowskiego, była w tych miesiącach olbrzymia, zwłaszcza gdy się zważy, iż obok sprawy granic zachodnich trzeba było toczyć ciągłe walki albo o Śląsk Cieszyński, albo o Małopolskę wschodnią.

Jasną jest rzeczą, iż bez pracy przygotowawczej Dmowskiego i bez jego rozumnego przewodnictwa w działaniach Delegacji Polskiej wyników takich, jakie mamy, nigdybyśmy nie osiągnęli.

Ciężka ta i odpowiedzialna praca wyczerpała na krótko siły tego żelaznego człowieka. Po podpisaniu traktatu wersalskiego zapada ciężko na zdrowiu. Uratował jeszcze w ostatniej chwili stanowczem posunięciem Małopolskę wschodnią dla Polski.

W NIEPODLEGŁEJ POLSCE

Zdawało się, że Roman Dmowski po ukończeniu wielkiego dzieła wskrzeszenia do życia niepodległej Polski po powrocie do ojczyzny pokieruje nawą polityki polskiej i poprowadzi ją w pożądanym kierunku. Stało się jednak inaczej.

Dla Dmowskiego miejsca w służbie Rzeczypospolitej nie było. Wszedł tylko w tym czasie do Sejmu, znów jako poseł stołecznego miasta Warszawy,

W chwili grożącego Polsce niebezpieczeństwa ze strony inwazji bolszewickiej wszedł Roman Dmowski do Rady Obrony Państwa i swymi wpływami dopomógł do zwycięskiego odparcia najeźdźców. W styczniu 1922 roku wznawia Dmowski „Przegląd Wszechpolski", który zaczyna wychodzić w Poznaniu i ukazuje się aż do r. 1925.

W roku 1923 na krótko wszedł Dmowski do gabinetu ministrów z teką ministra spraw zagranicznych, poczem na stałe usunął się z czynnego życia politycznego, poświęcając się całkowicie wytyczaniu, jak przed wojną światową, dróg prawdziwie mądrej polskiej polityki państwowej.

Dnia 11 czerwca 1923 r. odbyła się uroczystość wręczenia Romanowi Dmowskiemu, po wcześniejszym doktoracie w Cambridge, honorowego doktoratu wydziału filozoficznego Uniwersytetu Poznańskiego, najwyższego odznaczenia, jakiem wszechnica rozporządza. Głęboka ocena tkwi w dyplomie, ukryta w tych słowach: „Romanowi Dmowskiemu, Najjaśniejszemu Światłu Polski".

TWÓRCA OBOZU WIELKIEJ POLSKI

W maju 1926 r. następuje przewrót. Dmowski w dniu 5 grudnia 1926 r. na zjeździe w Poznaniu powołuje do życia Obóz Wielkiej Polski. I tym również czynem zapisał się wódz trwale w historii narodu polskiego.

Dmowski na chwilę nawet nie przestał odkrywać przed społeczeństwem dróg dalszej przyszłości. Jak dawniej umysł jego głęboko i trafnie pracuje dla umiłowanej sprawy. Wynikiem tych rozważań jest książka p.t. „Świat powojenny a Polska", która wywiera olbrzymi wpływ na stan umysłów polskich. W ciągu krótkiego czasu książka doczekała się już trzech wydań.

Dnia 15 kwietnia 1934 r. Roman Dmowsski na zjeździe Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego wskazał na „nowopowstałe zadania ruchu narodowego w Polsce".

UZUPEŁNIENIA

Taki mniej więcej był przebieg życia Dmowskiego według głównych dat jego działalności publicznej. Życiorys ten jest zbyt pobieżny, w wielu miejscach nie dość dokładny. Tłumaczy dziejopisa z jednej strony pośpiech dziennikarski, z drugiej ta ważna okoliczność, że ani Dmowski, ani ludzie w jego środowisku najbliższem nie troszczyli się o to, jaki kłopot po ich śmierci będą mieli biografowie i historycy. Oto upłynęło 50 lat tak płodnego w owoce ruchu narodowego i nie ma dotąd choćby drobnego zarysu historycznego tej epoki.

Dmowski zwłaszcza tak całkowicie zaangażowany był duchowo w sprawie, której się poświęcił, że nie było w jego duszy miejsca na myślenie o historii osobistej. Nie znosił, aby w promieniu jego wpływów działo się cokolwiek obliczonego na interes czyjś osobisty, a zwłaszcza jego własny. Odbiło się to na archiwach po nim. Osobiście nie gromadził żadnych. Listów nie przechowywał, swoje pisał, nie licząc się z tem, że będą kiedyś publikowane. Na pamiętniki nie znalazł czasu. Dość powiedzieć, że nie zostawił po sobie dobrze wykończonego portretu. Nie mógł się przemóc do roli człowieka pozującego nawet przed malarzem; niecierpliwiło go to i śmieszyło.

Wogóle pomimo wielkiego rozrostu osobowości i ambicji nie dbał o lustro współczesności, o to co ludzie o nim mówią. Z zupełną obojętnością przyjmował do wiadomości, że ten lub ów źle o nim pisze. — Co mnie to może obchodzić — mówił — kiedy ja tego nie czytam. Robiło to czasem wrażenie, że „choruje na niepopularność". A jednak to było tajemnicą jego zdrowia moralnego, siły i — popularności. Przez to przesunięcie ambicyj życiowych ze swej osoby na rzecz tworzoną zyskiwał wolność osobistą tworzenia niezależnego od koniunktur towarzyskich. Jest to stanowisko artysty oddanego całą duszą swemu dziełu, żyjącego na rachunek przyszłego triumfu— choćby po śmierci.

Nie można pominąć w tem miejscu tego, co sam Dmowski o sobie wyznał, dziękując Uniwersytetowi Poznańskiemu za doktorat honorowy (II. VI. 1923)

„Cel, do którego szedłem w mej pracy, warunki, w których działałem, twarda walka, którą toczyć musiałem, by mi dzieła mego życia nie popsuto i wysiłków mych nie udaremniono, nie nauczyły mnie rozmiłowania się w zaszczytach ani nawet szukania nagrody w wyrazach uznania —

współobywateli. Zato zmusiły mnie do dużej pracy wewnętrznej w samym sobie, która mi dała największy skarb, jaki człowiek może posiadać — siłę moralną.

„O polityce się mówi, że ludzi znieprawia. Tak, bardzo często. Ten, kto wchodzi do niej z ubogiemi zasadami moralnemi, kto zagadnień moralnych nie umie rozważać, lub jest zbyt leniwy, by się nad niemi zastanawiać, traci nawet to niewiele, z którem przyszedł. Bo zagadnienia moralne, które życie polityczne przed ludźmi stawia, są tak często zawiłe, tak wysokiego rzędu, że dla sprostania im trzeba mocnej podstawy nie byle jakiego sumienia i nie byle jakiego wysiłku myśli. Bez tego ludzie nie umieją im dać rady, omijają je, tracą ster, tracą miarę złego i dobrego. W wyniku ostatecznym zaciera się różnica między czynem politycznym a pospolitą zbrodnią.

„Temu wszakże, kto mocno jest zrośnięty z ziemią ojczystą, związany głęboko w duszę sięgającemi z istoty swej religijnemi węzłami z jej przeszłością, kto na tem oparte ma poczucie odpowiedzialności nie tej łatwej przed współczesnymi, ale tej surowej, boleśnie umiejącej zatargać sumieniem odpowiedzialności przed pokoleniami narodu, kto nie boi się wysiłku myśli, by na każde najtrudniejsze nawet zagadnienie moralne znaleźć w swem sumieniu odpowiedź, temu polityka daje taką możność moralnego pogłębienia się, jak żadna inna dziedzina działalności ludzkiej. Uwalnia go ona nawet od najtrudniejszej do leczenia, bo endemicznie panującej dziś choroby — próżności, pyszałkowatości, wmawiania w siebie, że się jest osią, dookoła której wszystko się obraca.

„Patrzyłem — mówił Dmowski — przez długie lata na swych towarzyszy pracy i walki, widziałem, jak w tej szkole moralnej rośli, jak pogłębiała się w ich duszach świadomość, że w wysiłkach swoich spełniają wolę wyższą od własnej i od woli pokolenia, do którego należą. Że wykonywają testament ojców, którzy swym znojem i swą krwią Polskę dźwigali, myśl towarzyszącą ostatniemu tchnieniu szeregu pokoleń wiernych jej synów, którzy za nią życie kładli, ich nakaz odbudowania zburzonego domu i umocnienia podwalin bytu pokoleń przyszłych. To oparcie się moralne o przyszłość, o pokolenia, które odeszły, uzależniało ludzkie ja od czegoś bez porównania większego, a zarazem dawało nam śmiałość zamierzeń, siłę wytrwania w trudnej pracy i przykrej walce, dostateczną bezwzględność usuwania napotykanych przeszkód i zdolność przeciwstawiania się wpływowym nieraz opiniom we własnem pokoleniu.

„Zrozumiecie Panowie łatwo, że dla ludzi, którzy tak czują i myślą, którzy na takiej podstawie swe istnienie moralne opierali, zaszczyty i wyrazy uznania nie są potrzebą, za którą by się uganiali: jest to raczej zbytek moralny, który może być miły, ale któremu nie trzeba dać zanadto się pociągnąć, bo może stać się źródłem słabości".

Człowiek, tak rozumiejący swoje posłannictwo, nie mógł dbać o tani poklask i hołdy. Za wielką jednak nagrodę dla siebie uważał zaszczytne odznaczenia, jakie go spotkały ze strony uniwersytetów, które mu nadały tytuł doktorski. Stało się to raz u obcych, gdy w r. 1916 słynny uniwersytet w Cambridge zaprosił go na szereg wykładów i nadał mu przy tej sposobności tytuł doktora *honoris causa,* a potem gdy w roku 1923 uniwersytet w Poznaniu takimże tytułem go obdarzył. Miał jeszcze jedną tego rodzaju radość, gdy miasto Poznań, stworzywszy fundację nagrody literackiej im. Kasprowicza, pierwszą taką nagrodę jemu przyznało.

Były to wszystko nagrody natury idealnej, utwierdzające w nim wiarę w to, co najwięcej w sobie cenił — w siłę myślenia. Jeśli się nazwało wyżej całą działalność Dmowskiego dziełem wielkiego artysty, za które płacić będzie potomność głęboką czcią, czego największy poklask współczesnych nie zastąpi, to twórczość pisarska daje się z tej całości wyłączyć, jako własność osobista autora, będąca jego osobistości poszerzeniem i mająca swój byt odrębny, utrwalony na wieki materialnie. Jest to dzieło artystyczne w ścisłem znaczeniu. Tutaj nie o zasługach już mowa, lecz o talencie, o stylu, o głębokości myśli, o sławie literackiej.

Trudno spotkać pisarza bardziej ambitnego, niż był Dmowski, zawzięty wróg tandety, płytkości i lekkomyślności pisarskiej. — Był to wielki artysta jako mistrz słowa i jako psychika twórcza. Dziełami swemi dokumentował motywy swego działania politycznego, dzieło jego każde było jak zegar, w którym słychać było tętno duszy narodu. Rzucał na drogi narodu światło swoich wizyj historiozoficznych. Z jedną taką wizją, która miała ukoronować jego pisarstwo, zmarł nie dokonawszy dzieła. Walczył ciężko z niemocą fizyczcą, pragnąc ją przeprzeć zaklęciem artysty, że musi dzieła dokończyć. Nie miał chwili wytchnienia od żądzy tworzenia.

Bliższa charakterystyka osoby nie leży w zakresie życiorysu. Powyższych parę rysów dodałem dla uwydatnienia oblicza twórcy, którego działalność była zaznaczona sucho datami. Dodać należy jednak jeszcze parę faktów z życia osobistego.

Roman Dmowski, jak to obecnie powszechnie ze szczerym podziwem stwierdzają nawet jego przeciwnicy polityczni, „niczego dla siebie nie pragnął" — ani zaszczytów, ani posad czy synekur." Sam ten podziw jest dla naszych czasów rzeczą charakterystyczną. Ale trzeba dodać coś więcej: Dmowski odmawiał sobie praw do szczęścia osobistego. Nie założył rodziny, choć tyle miał w sobie serca ojcowskiego, a nie założył jedynie dla tego, że nie chciał dzielić swego serca między rodzinę i sprawę, której się poświęcił. Chciał mieć ręce wolne do pracy wyłącznej dla narodu i swobodę zupełną dysponowania swoją osobą. Wiem, że pokierował tak życiem świadomie. Potrzebował przecież atmosfery rodzinnej, a znalazłszy ją w domu pp. Niklewiczów i matki pani Marii Niklewiczowej, Zofii Casanova-Lutosławskiej, ten dom uznał za najbliższy sobie. Rzec jednak można, całe życie „mieszkał kątem", co było prawdą pomimo że otoczony był miłością i serdeczną opieką. Za trud opiekuńczy i ofiarny, zwłaszcza w czasie długotrwałej choroby, pełne wdzięczności uznanie należy się od społeczeństwa pani Marii Mieczysławowej Niklewiczowej.

Pragnieniem jego było mieć własną sadybę z kawałkiem ziemi. Złożyło się tak, że w wolnej już Polsce, za namową Wielkopolan nabył ośrodek majątku (po niemcu Treskowie) Chludowo

pod Poznaniem. Nie starczyło jednak środków na spłaty należnych rat, więc po kilku latach musiał Chludowo opuścić i wrócił do Warszawy do swej przybranej rodziny.

Nie zaznał nigdy spokoju, jaki daje zabezpieczenie materialnych potrzeb. Nie robił jednak z tego dramatu. Potrafił się ograniczać, ale gdy mógł czemś rozporządzać, wtedy za popędem dobrego serca idąc, bywał szczodrobliwy.

Skoro już mowa o stosunkach materialnych, a tych w życiorysie niepodobna pominąć, faktem godnym uwagi jest, że ta wielka egzystencja polskiego męża stanu, który tyle Polsce dał, zbudowana była początkowo i zamknięta, gdy już cała rodzina Dmowskich wymarła, na podstawie materialnej, jaką pozostawił po sobie skromny brukarz na Pradze. Czerpiąc z tego funduszu Roman Dmowski wykonał wszystkie prace przygotowawcze do swojej wielkiej kariery politycznej. Owa posiadłość na Pradze, niedawno sprzedana na pokrycie długów, była tem źródłem, które umożliwiło działalność polityczną wielkiemu kanclerzowi Polski bez uszczerbku dla Skarbu.

Prawo ciążenia duchowego do ziemi, która człowieka na świat wydała, znalazło tu zastosowanie. Rzucony stąd w wielki świat — powrócił, jak bumerang, do rodzinnego miejsca na Pradze, aby zamknąć tutaj dzieje swego rodu, a z mogiły swojej uczynić płonący chwałą wskaźnik dla narodu na wielką drogę dziejową.

Z. W.

WIELKA POSTAĆ

W PRZEDWOJENNEM szarem bytowaniu — pierwszy Sienkiewicz za pomocą swych powieści historycznych, wstrząsnął nami potężnie, rozpalając płomień i żar uczuć narodowych, przetapiając granice trzech zaborów w zjednoczenie moralne wszystkich Polaków. Jakby ogromny jakiś pożar ogarnął wówczas całą naszą Ojczyznę w plemiennej miłości i w przynależności wzajemnej.

W roku 1904 uderzyła, rzekłbyś w dzwon przyszłości, książka Dmowskiego „Myśli nowoczesnego Polaka"; zatargała sumieniami; każdy, mimo że głęboko nosił w duszy myśl o niezależności, jednak, może patrząc zanadto trzeźwo, nie widział sposobów praktycznych jej urzeczywistnienia, stąd, tchórzliwy, nie śmiał nawet o niej marzyć przed sobą samym. A tu nagle, po męsku, bystro patrząc w dal, swe myśli nam rzucając, odstania Dmowski najszersze widnokręgi odrodzenia narodowego; ułatwia nam poznanie się w samych sobie, pozwala nam poczuć się rdzennymi braćmi; a kiedy dotychczas nawoływaliśmy się z poza zaborów, jakby w lesie, każe on nam wychodzić na czyste, jasne pole, gdzie, zdziwieni, oglądamy się, rzekłbyś fizycznie, witamy się, ściskamy sobie dłonie, poczuwszy się w rzeczywistej gromadzie siłą, w samowiedzy nadzieją.

Nie znam nic wznioślejszego, piękniejszego, nic bardziej polską, rodową krwią pisanego, jak wstęp do „Myśli nowoczesnego Polaka": „Jestem Polakiem, to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia".. „Jestem polakiem, więc całą rozległą stroną swego ducha żyję życiem Polski"...

Kto kiedy potrafił tak napisać, tak się wczuć w Polaka wiecznego? Takie zdarzenia ożywiały nas wówczas prądem niezmiernego podniesienia i ochoty. Przez cały czas swej ogromnej działalności politycznej nie zboczył nigdy z tego olbrzymio zakreślonego obszaru myśli i czynów. Walczył z przesądami i z ludźmi, walkę uważając za usprawnienie rodzimych usposobień, w zasadzie biernych, miękich, wygodnickich, roztaczając obraz win, błędów, złego ustroju społecznego, złego obyczaju. Z dwoma żywiołami prowadził nieustępliwy bój, t. j. z socjalistami i z rasą żydowską. Pierwszych uważał za wielkich szkodników, wyznawców walki klas, nieuznających narodowości, ni własności, a więc tworzących proletariuszy; drugich za przysięgłych dezorganizatorów zgody społecznej, wsączających narodom, wśród których żyli jad i niepokój i wyzyskujących je do żywej krwi. Spotka Dmowski tych wrogów i na zachodzie i podczas Kongresu Wersalkiego w postaci międzynarodówek, masonerii, światowego żydostwa, które świadomie nie będą chciały dopuścić do stworzenia mocnego państwa polskiego. Dziś jeszcze w Polsce, powiedzmy to z ręką na sercu otwarcie, umysłowość polska nie może się wyzwolić (jakiekolwiek obejmowałaby dziedziny życia publicznego czy społecznego) z niesamowitych pojęć i wpływów wywieranych przez ducha negacji z zachodu, z wschodu czy też z wewnątrz kraju.

Większość naszego narodu intuicyjnie upatrywała zawsze w Niemcach najgroźniejszego, nieprzebierającego w środkach wroga, do tego zorganizowanego do podbojów. Dmowski będący wykładnikiem tego poglądu także i w wyniku swych głębokich rozmyślań i studjów, uświadomił nas dawno przed wojną o tym zaborcy. Zarzucano mu, że się mniej obawia Moskali, że pobłażliwiej z nimi rozprawić się byłby gotów; że unicestwił 1904 r. w Tokio w zarodku plany socjalistów polskich, dążących do wywołania powstania na tyłach armii rosyjskiej w Kongresówce w czasie wojny japońskiej; ile wdzięczności należałoby się Dmowskiemu od naszego narodu za ten czyn błogosławiony, jeśli pomyślimy, coby nas czekała za zemsta od Moskali za taki szaleńczy odruch, po skończonej wojnie z Japonią. Przyszłoby nieubłagane wyniszczenie, pożoga, krew. I nie wiem, czy mogli byśmy podnieść się wogóle po takiej zagładzie, zachować moc życiową na dalsze, wielkiej wojny czasy, na dalsze potrzeby rozwojowe? Niemcy byliby wówczas cieszyli się z naszej śmierci niezawodnej.

W czasie wielkiej wojny Dmowski i my wszyscy, cośmy zawierzyli koalicji zachodu i jej nieprzebranym zasobom i siłom, musieliśmy iść czasowo, z potrzeby, z Rosją — przecież nie z miłości — lecz dlatego, że wprzęgniętą była w działania Ententy i zmuszona niejako i dla nas pracować. Przeżyłem całą gehennę okupacji niemieckiej; patrzyłem na wewnętrzne rozdarcie ludzi, wynikające z uproszczonego ich politycznego myślenia, lub strachu; epokę pełną podejrzeń, posą-

dzeń i błądzeń. Po wojnie miałem kilkakrotnie szczęście rozmawiania z Dmowskim. Opisywał mi, jak było mu trudnem postawienie sprawy wielkiej Polski na forum zachodu, z powodu, że w Polsce garść ludzi przystawała do obozu niemieckiego, godząc się na minimum dla świętego spokoju nawet bez Poznańskiego, Pomorza, Śląska. Jedni z nich powodowani przekonaniem, jakoby Niemcy byli wymarzonymi pedagogami dla organizowania kraju polskiego, drudzy poprostu z karierowiczostwa politycznego pragnęli zwycięstwa państw centralnych; jedni i drudzy z bielmem na oczach, krótkowidze, jednak wypinający się, żądni władzy nawet w takich warunkach opieki niemieckiej. Niechętne naszemu rozrostowi żywioły zagranicą wyzyskiwały to położenie na każdym kroku, a tam przecież było wówczas rozstrzygnięcie, nie w Polsce. Widzimy, jaką odpowiedzialność brał na swe barki Dmowski, na pozór bez upoważnienia urzędowego, ale z poparciem całego narodu polskiego. Cierpiał, niepokoił się, bo myślał zawsze kategoriami wielkiej całości i zupełnej niezależności. Gdy mnie raz odwiedził tu w bibliotece, zmówiło się nam o dawnem, *tempore belli*, rozwiązaniu austriackiem, wspomnienie to nie wzbudziło jego gniewu, ale politowanie — i wywołało dowcipy o lokalnych marzeniach małopolskiej, regionalnej racji stanu... habsburskiej.

I oto znów staje przed nami na jawie wielka postać Romana Dmowskiego w chwili, kiedy coraz straszniejszy odczuwamy nacisk germanizmu, któryby chciał skuć nas w obręcze własnych swych potrzeb i wyzysku, i zamknąć nam oddech na Świat Boży. Zgon Jego dzwoni nam przypomnieniem i woła, wobec grozy położenia, o zjednoczenie narodowe, o siły materialne i duchowe — był przecież gorącym wyznawcą Kościoła katolickiego i wpajał w młodzież polską do niego miłość.

Mało właściwie znamy żywot duchowy Romana Dmowskiego. Pisma jego stanowią zapewne podstawę do jego pogłębienia, — czyny zaś mówią jasno za siebie, uwydatniły je przecież dzieje, jakby rylcem nieśmiertelności. Mówca wielki, natchniony, — nie usłyszymy, niestety, więcej jego żywego słowa, którem nas tak niewolił, podnosił i oświecał. Pozostaje jego korespondencja, — obowiązkiem pilnym byłoby jej zebranie i wydanie — albowiem bezpośrednie wynurzenia najwierniejszym byłyby obrazem jego walk politycznych, przejść ogólno-ludzkich, osobistych.

EDWARD KRASIŃSKI

Z NOTATEK

BYŁO to w Poznaniu. Roman Dmowski zamieszkiwał tam wówczas przy Al. Marcinkowskiego. Dn. 19 kwietnia 1921 r. ojciec mój Joachim Bartoszewicz przyszedł około 11 rano do Dmowskiego. Chciał naradzić się z nim w dwóch sprawach. Nosił się z zamiarem założenia w Poznaniu Szkoły nauk politycznych. Myślał też i o kandydowaniu do Sejmu.

— Jedna idea jest dobra i druga idea jest dobra — odpowiedział Dmowski — ale obydwie razem są niedobre.

B a r t o s z e w i c z. Czy Pan kandyduje?

D m o w s k i: Ja nie mam zamiaru.

B a r t o s z e w i c z: A jednak, możeby to było dobrze. Już i tak za wiele o tem mówią, że się Pan usunął w zacisze domowe.

D m o w s k i: To co inni o tem mówią, jest mi obojętne. Bylebym się sam nie wycofał — mogą mówić, co chcą. Widzi Pan, Panie Joachimie, my wszyscy, którzyśmy tę Polskę zrobili, nie nadajemy się do polityki praktycznej *à la* Lloyd Georges czy Briand. My jesteśmy swego pokroju artystami politycznymi. Nie jesteśmy zdolni do intryg, bo pchanie się przemocą — to nie nasze zadanie.

Jedynem stanowiskiem, którebym w Polsce chciał i mógł zająć — to stanięcie na czele takiej instytucji, której niema, a która w Polsce, powstałej w warunkach anormalnych, zlepionej z trzech części jest potrzebna. To jest instytucja, którąbym nazwał „Komisją budowniczą", czy „urządzającą" Składać się ona powinna z ludzi, rozumiejących potrzeby Polski, mających odpowiednią wiedzę i doświadczenie i którzyby zajęli się budowaniem Państwa na dalszą metę, bo tego nie zrobi ani rząd, ani sejm, ani nikt inny.

Wyobrażałbym sobie taką instytucję, równoległą z ministerstwami, której prezes zasiadałby w Radzie Ministrów, tak, by ludzie, zasiadający w niej, mieli wpływ na kierunek polskiej polityki. Na czele takiej instytucji widziałbym swoje miejsce i tam widziałbym też miejsce dla Pana.

Powiedziałem sobie już dawno, że ja ani jako prezydent, ani jako prezes ministrów rządzić w Polsce nie będę. Wiedziałem także, że nie pozwolą na to żydzi. Mówiąc nawiasem, złożyli mi co do tego formalną deklarację. Powiedziałem jednemu z najwpływowszych żydów światowych w Ameryce:

— Pan tak do mnie mówi, jakbym ja rządził Polską... a — dodałem z uśmiechem — ja Polską nie rządzę i rządzić nie będę...

A on na to:

— Ja wiem, że pan rządzić nie będzie!

Powiedziałem sobie, że najważniejszem mojem zadaniem jest zajęcie się gruntowne kwestią żydowską i doprowadzenie do utrącenia panowania żydów na świecie. Pod moim wpływem angielski dziennikarz p. Dillon rozpoczął wielką agitację przeciwko żydom, finansowaną przez słynnego fabrykanta samochodów Forda. To są kapitalne rzeczy, których ja sam teraz się uczę. Myślę że w tym kierunku mogę zrobić wielką rzecz, która dla Polski może mieć daleko większe znaczenie, niż moja prezydentura. Te sprawy wiążą się z kwestią walki zasad rzymskich z judejskiemi.

Zrozumienie tych rzeczy przenikać zaczyna do Polski. Należałoby napisać książkę, któraby wykazała że cała nasza cywilizacja, oparta na zasadach rzymskich, runie, jeśli niebezpieczeństwo wpływów wschodnich nie zostanie zahamowane. Metody, oparte na zasadach semicko-egipsko-azja-

tyckich, któremi posługują się nasi przeciwnicy, są zupełnie sprzeczne z zasadami aryjskiemi. Kultura aryjska odznacza się tem, że tajemnice, któremi rządzili ludem dawni władcy, a które były przez nich starannie ukrywane, zostały wyciągnięte na światło dzienne, dzięki czemu wszyscy ludzie mogli być podniesieni na wyższy stopień kultury.

Sposoby socjalistyczne operują metodą azjatycką. Chodzi o panowanie nad masami, o nic więcej. Natomiast metody nasze szły w kierunku rzymskim. Nad tem zagadnieniem warto pomyśleć i popracować. Gdybym nie był zajęty praktycznemi rzeczami, i mógł się temu poświęcić, to bym to zrobił. Ponieważ nie mogę teraz poświęcić się temu całkowicie, potrzebuję zespołu ludzi do pomocy. Polska musi zaznaczyć się w cywilizacji światowej pewnemi myślami i prądami które by były jej własne, ażeby mogła mieć znaczenie. Dlatego też potrzebuje takiej szkoły politycznej, któraby to zrobiła.

Moją ambicją jest, by po zrobieniu tego, co już zrobiłem, jeszcze zrobić coś istotnie wielkiego dla Polski i dla świata. A na to by módz to zrobić, „*il faut reculer pour mieux sauter*". Tę ambicję mam i sądzę że dobrze jest, by każdy zrozumiał swoją *superiorité* i swoją *infériorité*.

Pewnie, że byłoby mi przyjemnie mieć swoje biura ministerialne, swoje samochody, swoje wygodne urządzenia. Ale wszystko to dla mnie nie ma żadnego znaczenia istotnego. Dla ludzi mojego pokroju ta idea, o której Panu mówiłem, powinna być znacznie bardziej nęcąca, niż idea zostania ministrem...

U wielu ludzi snobizm gra dużą rolę, ale ja go nie posiadam. Wielki wpływ mają na ten snobizm kobiety, ale ja takich wpływów nie mam. Jest mi to wszystko jedno.

Towarzysząc Ojcu, który sam wydalać się z domu nie mógł z powodu złego stanu wzroku, byłem obecny przy tej rozmowie i niepostrzeżony ołówkiem ją notowałem.

WŁODZIMIERZ BARTOSZEWICZ

NA BRÓDNIE

Zimny mrok wśród brzóz cmentarnych cicho wstawał,
Wzbiło się nad tłum zagasłe w trumnie serce —
Pod nią rozwarty grób, ponad nią śnieżno-krwawa
Chorągiew, zwycięsko naznaczona Szczerbcem.

Rozgorzały pochodnie u trumny,
Powiew schylił płomienie, uderzył
I otworzył serca na ścieżaj...
Idą zwarte tysiąców kolumny.
Nie płacz targnął tłumem, nie rozpacz!
Gdy wśród hufców ramiona wzniesione
Raz ostatni trysnęły pokłonem,
Pośród mogił ogień się rozpostarł.

— My wiemy, idący w bolesnem milczeniu,
Że mieczem Chrobrego, pośród tych płomieni
Na rycerzy pasujesz swoich giermków — nas!
Żałobny rytm werbla nie jest nam złowrogi,
Bo u stóp rycerskich grają nam ostrogi!

— My wiemy, jak utkany nasz mieczowy pas!
Że to ów pas wiślany w Bałtyku ginący,
Któryś wrogowi wyrwał i nam w spadku dał —
Orle, coś się nie uląkł i coś spojrzał w słońce!

— My wiemy, śpiewający Salve Regina,
Że władztwo hetmańskie dziś się rozpoczyna,
Że grzebiemy dziś w lekkim piasku — tylko miał!

— Niechaj nas smutek do dna przebije, przewierci,
Dusze, bólem pokorne stężeją na granit —
Przyjmujemy ogniem pisany testament
Z Twoich rąk, o Rycerzu, mocniejszy od śmierci!

. . . .

Kiedy lud w twardym śniegu na odwieczerz klęknął,
Z pomiędzy brzóz cmentarnych wzbiła się jutrzenka.

AGNIESZKA OSIECKA

NA ZGON ROMANA DMOWSKIEGO

Oto jeden znów nad śmiercią tryumf,
Jedno więcej zwycięstwo wielkości...
Ziemia nasza, święta krwią swych synów,
Świętsza będzie o proch jego kości.

Więc dopiero w tak strasznej żałobie
Nieśmiertelność przychodzi nam wyznać?
Aby strzec jej — straż stanie przy grobie:
Serca nasze i wolna Ojczyzna!

WIESŁAW PYREK

GŁOSY

WE FRANCJI O DMOWSKIM

W DZIENNIKU *„Action Française”* z dn. 17 stycznia b. r. znajdujemy wspomnienie o Dmowskim tej treści:

„Bez Dmowskiego byliby w Polsce lewicowcy i prawicowcy, „postępowcy” i konserwatyści, radykałowie i liberałowie, zwolennicy „silnych rządów” i „demokraci”. ale nie byłoby Nacjonalizmu Polskiego. Dzięki Dmowskiemu z mętnego „patriotyzmu” wśród wielkiej części Polaków dojrzała ideologia historyczno-narodowa, bezkompromisowa — nacjonalizm. Dzięki Dmowskiemu wszedł do Polski XX wiek z tem co w nim najlepsze: z bezwzględnem potępieniem jakiejkolwiek współpracy z międzynarodówkami, z wyraźnem odróżnieniem nacjonalizmu od szowinizmu i imperializmu.

Zasługi Dmowskiego dla Polski równają się nieśmiertelnym zasługom pierwszych Piastów, którzy założyli państwo i związali je z Zachodem przez chrześcijaństwo; dzieło Dmowskiego tak wzmocniło i uszlachetniło Naród jak dzieło humanistów i Stanisława Augusta. W perspektywie dziejów Europy zajmuje Dmowski jako mąż stanu to samo miejsce co Richelieu, Metternich, Cavour i Bismarck, a nawet pod niektóremi względami wyższe. Z żyjących dziś Salazara i Maurras'a porównać można tylko do Dmowskiego.

Nie można w życiu Dmowskiego wyodrębniać jego roli jako myśliciela i czynnego męża stanu. Dzieła książkowe Dmowskiego takie jak „Myśli Nowoczesnego Polaka”, „O upadku myśli konserwatywnej w Polsce” i „Polityka Polska” — to także czyny. Wśród aktów politycznych w ściślejszem tego słowa znaczeniu także nie można specjalnie podkreślać doniosłości niektórych, a w szczególności np. tego, że podpisał traktat wersalski, o którym Dmowski miał ustalone ujemne zdanie i który Polski jako państwa nie odbudował; tak samo parotygodniowe piastowanie teki ministra spraw zagranicznych to w życiorysie Dmowskiego drobiazg bez znaczenia. Dmowski zajmował się większą sprawą niż jakimś resortem ministerialnym, zajmował się Narodem a dzieło jego to narodowa osobowość polska XX-go wieku. W tem dziele powstrzymanie Polaków od współdziałania ze wszystkiemi międzynarodówkami w rewolucjonizowaniu Rosji, której przewrót mógł w latach 1905—6 i Polskę pochłonąć, stanowcze zaznaczenie wrogości Polaków wobec państw germańskich w czasie wielkiej wojny — to najbardziej pouczające momenty. To co zasadniczo odróżnia Dmowskiego i jego szkołę polityczną — to posiadanie małej ambicji osobistej ale za to przeogromnej ambicji narodowej”.

TWÓRCY RASIZMU

ŻYDZI są czasem bardzo naiwni licząc na nieznajomość historii u społeczeństw, wśród których żyją. Niedawno Komitet administracyjny Światowego Kongresu żydowskiego „dał wyraz wdzięczności żydów dla Papieża Piusa XI za odważne zwalczanie rasizmu”.

Nie dziwimy się, że żydzi wykorzystują, a często nawet przekręcają te wypowiedzi zwierzchników Kościoła, za któremi mogą się schronić, ale wydaje się nam nieco bezczelne, aby jedni z praojców rasizmu dziś, tak nagle stawali się jego przeciwnikami.

Przecież rasizm, jako teoria wyższości, a raczej lepszości jakiegoś jednego gatunku ludzi nad innymi, była uznawana już przez... Mojżesza. Żydzi już wówczas nie tylko że hołdowali teorii rasizmu, ale wyznawali go praktycznie. Odgradzali się od „mięszania się” z innymi przez bardzo surowe przepisy, zakazujące małżeństw z nie żydami. Dochodziło do tego, że nawet ten kto przyjął wiarę żydowską, długi czas nie był dopuszczany do społeczeństwa żydowskiego, ale jako „prozelita” trzymany był odeń zdala.

Czyż nie jest to najczystszej krwi rasizm?

Dlatego też nie ma za co dziękować Papieżowi, bo słowa jego przeciw rasizmowi odnosiły się także i do odwiecznych wyznawców tej teorii — do żydów.

(Z.)

CHÓR FARYZEUSZÓW

TO BYŁO w lecie. Prasa liberalna albo wręcz lewicowa aż po skrajną lewicę włącznie drukowała na naczelnych miejscach rzekome oświadczenie Ojca świętego skierowane przeciw nacjonalizmowi. Wówczas z ust jednego z wybitnych przedstawicieli myśli — nazwijmy ją dziewiętnastowieczną — usłyszałem następujące zdanie:

— Słowa Papieża są bezwątpienia wydarzeniem najdonioślejszem.

Uderzył mnie w zdaniu tem ton pełen szacunku dla Głowy Kościoła, tego Kościoła, z którym walkę owa „myśl dziewiętnastowieczna” uważała i uważa za naczelne w życiu zadanie.

Dni obecne są dniami, które rozbrzmiewają jeszcze w świątyniach melodiami kolęd. Warto przypomnieć „kolędujące” głosy prasy liberalnej, czerwonej, wręcz żydowskiej. Nigdy jeszcze nikt jaskrawiej nie manifestował radości z powodu rocznicy narodzin Boskich, jak owe stosy dzienników żądające codzień zagłady katolicyzmu. Zaiste. Jakiż się krył w tym cel perfidny? — Niechaj czytelnik sam osądzi.

Mieliśmy zamiar dać cały szereg wigilijnych artykułów prasy wrogiej wigilii, wrogiej zawistnie. Za dużo by to nam jednak czasu zabrało. Dla przykładu podamy artykulik łódzkiego, żydowskiego „Głosu Porannego”. Zaznaczamy, że podkreślenia są nasze. Oto on:

Dziś świat chrześcijański zasiądzie do wieczerzy wigilijnej. Bóg się rodzi — moc truchleje! Narodził się w ubogiej pasterskiej stajence, wśród ludu. Przyszedł, by głosić powszechną miłość między ludźmi i narodami **bez względu na kolor skóry, różnice ras**. Przyszedł, by uczyć, że krzywda i niesprawiedliwość jest grzechem. Nauki Jego są nieśmiertelne. Lecz **byli wówczas, i są dzisiaj faryzeusze**, którzy Ideę Chrystusową krzyżują, dręczą, torturują. Barbaryzm, najpierwotniejszy gwałt panuje jeszcze i chce zapanować nad światem.

Ale nikt, żadna siła ludzka, żadna przemoc nie zdoła powstrzymać wielkiego pochodu **ku sprawiedliwości i powszechnej braterskiej miłości. Nikt nie zdoła wmówić w świat, że litość, miłosierdzie, pokój wieczysty, to mrzonki, nierealne marzenia.**

Bóg się rodzi, moc truchleje! Idea Nieśmiertelna z Gwiazdą Betleemską zaświta nam napewno, a przemoc struchleje.

Z wiary, tęsknoty milionów zbudzi się sprawiedliwy porządek między ludźmi. Wówczas linia rozwoju postępu ludzkości biec będzie już normalnie, bez załamań, bez skrętów i powrotnych fal.

Zniknęły despotyzmy państw Wschodu, padł Rzym i Bizancjum, skruszyły się kajdany przywilejów stanowych średniowiecza, burze dziejowe zmiotły systemy, oparte na wszechwładzy panujących. Powrotne fale w perspektywie dziejów okażą się burzą w szklance wody.

Wśród ciemnej ponurej nocy pokaże się na niebie gwiazda, zwiastująca lepsze jutro.

Dokument. Charakterystyczny. Wielce charakterystyczny. My jako Polacy pamiętamy jednak, że to nikt inny, ale obecnie panujący Ojciec święty stwierdził autorytatywnie, że „Bóg stworzył narody", a my jako katolicy zaznaczamy, że wierzymy w wiekową mądrość Kościoła. Znamy też Ewangelię i opowieści o faryzeuszach. „Byli wówczas i są dzisiaj faryzeusze..."

O tak. Byli i są. Znamy ich. Dobrze znamy. Jak jeszcze!

(b)

DEMOKRACI ŁĄCZĄ SIĘ

CIĘŻKIE jest obecne położenie żydów — temu nikt nie przeczy, nawet tak zawsze optymistyczny Żabotyński. Zewsząd pędzeni — wszędzie drzwi zastają zamknięte, muszą myśleć czemprędzej o obronie, o jakichś drogach wyjścia, żeby nie być zmuszonymi do masowego opuszczenia Europy.

Mobilizują siły, zbierają pieniądze, urządzają konferencje, a przedewszystkiem wyciągają z ukrycia swoich dawnych przyjaciół... gojów i każą im walczyć z „antysemickim terrorem".

W Polsce takim wałem ochronnym żydostwa jest demokracja ze swoim niekoronowanym królem prof. Michałowiczem na czele. Gdy tylko się żydom trochę gorzej powodzi — natychmiast prof. Michałowicz zabiera głos w obronie uciśnionych w imię demokracji, postępu i.... chrystianizmu.

Ostatnio ten barometr ucisku żydowskiego ogłosił w „Naszym Przeglądzie" wywiad, gdzie to powtarza swój stały refren, który już nawet na żydach żadnego wrażenia nie robi.

W ślad za „demokratycznym" profesorem pośpieszyli demokratyczni plastycy — żydzi i chrześcijanie, którzy urządzili w Żydowskim Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych (ul. Graniczna 10) wystawę-sprzedaż obrazów, z której całkowity dochód przeznaczony jest na uchodźców z Niemiec.

Prace swe ofiarowali następujący „demokratyczni" artyści: Bartoszek, Bobowski, Herszaft, Krajewski, Linke, Malarewicz, Seiden-Beutel, Witkiewicz, Hiszpańska, Krzeczanowski, Kulisiewicz, Landau, Parecki, Rozensztajn i Skórecka.

Demokratyczna sztuka i nauka podały sobie dłonie, aby nieść pomoc uchodźcom żydowskim, a premier Składkowski i „Kolega" Sommerstein cieszą się pewno z tego, bo to przecież fakt „zgodnego współżycia obu narodów".

NA FUNDUSZ PRASOWY

„MYŚLI NARODOWEJ"

Zamiast kwiatów na grób ROMANA DMOWSKIEGO nadesłali:

Jan Gwalbert PAWLIKOWSKI — zł. 50.—

Z OBCEGO ŚWIATA

USTĄPIENIE DRA SCHACHTA

USTĄPIENIE ze stanowiska dra Schachta jest najdonioślejszem wydarzeniem ostatnich dni. Kim jest dr. Schacht? To człowiek, który potrafił sprzęgnąć dynamikę rewolucji hitlerowskiej z własnemi koncepcjami genialnego ekonomisty. Hitleryzmowi zawdzięcza satysfakcję realizowania pełnego własnej inicjatywy, hitleryzm mu w wyniku znacznie więcej: poprawę niebywałą koniunktury, dzięki której szczęśliwie rozwiązano problemy związane kwestiami socjalnemi z gospodarką narodową, a co za tem idzie ze sprawami politycznemi. Wynik: śmiała ekspansja Niemiec chociażby w roku ubiegłym.

Dlaczego dr. Schacht ustąpił?

Bo gdy nie widział możności dalszego „nakręcania koniunktury", nastąpił atak ze strony partii, której człowiekiem nigdy w gruncie rzeczy dr. Schacht nie był. W funkcji dyktatora gospodarczego zastąpił go Goering, w funkcjach tych, które mu pozostały po mianowaniu Goeringa, Funk.

Kim jest Funk?

Funk jest tym, który dokonał „gospodarczego podboju Bałkanów". A więc nagroda? Nie tylko. Przedewszystkiem wskazówka, po jakiej linii spróbuje pójść Rzesza.

Niemcy obecnie całkowicie podporządkowały gospodarkę planom aktywu politycznego rządzącego III-cią Rzeszą. Gospodarka stała się jeszcze bardziej narzędziem przygotowującem plany wojenne Niemiec hitlerowskich.

WIELKOPOLSKA

KIEDY po zamordowaniu ks. Streicha zaczęły się w Wielkopolsce mnożyć komunistyczne wybryki, co tydzień czytało się wówczas o wyrokach skazujących za pochwalanie zbrodni lubońskiej, a niemal każde zebranie Stronnictwa Narodowego było zakłócone awanturami pijanych bojówek, krzyczących: „Niech żyje czerwona Hiszpania!" Zdarzały się nawet wypadki wygrażania księżom a nawet profanacji Kościołów; — wówczas chwiać się poczęła wiara w granitowy nacjonalizm i katolicyzm ziem zachodnich, mówiono o silnem zradykalizowaniu Wielkopolski, o tem, że robota reemigrantów z Francji okazała się bardzo skuteczną, wynajdywano przyczyny tego stanu i udzielano życzliwie wskazówek. W duchu cieszono się z upadku bliźniego. Jeśli nam jest źle — to dlaczego im ma być lepiej!

Na ustach polityków, goniących za nadzwyczajnościami, którym nie podobał się dotychczasowy, równy marsz ziem zachodnich, właśnie dlatego, że był zanadto systematyczny i zorganizowany — pojawiły się uśmieszki, bo oto i Wielkopolska ma swoją sensację, nareszcie dzieje się coś co spędza sen z powiek statecznych Wielkopolan.

Ziemie zachodnie, a zwłaszcza województwo poznańskie nie mają zbyt dobrej opinii u reszty Polski. Dzieje się tak z dwóch przyczyn. Bardzo się o to starają żydzi, którzy w „Naszym Przeglądzie" — fachowo, a w „Wiadomościach Literackich" szmoncesowo udowadniają, że Wielkopolska to jest taki sobie, trochę gorszy kawałek Polski, kraj dziwnych, archaicznych ludzi, no i wogóle, co tu dużo gadać — prowincja. Dla nich Polska zaczyna się w Pińsku, a kończy na Warszawie i Koninie. Ale nie tylko żydzi. Wielu Polaków, których nie można posądzić o podleganie jakimkolwiek żydowskim wpływom, też się z nieufnością odnosi do poznańczyków. Cenią, chwalą nawet tych naszych braci z zachodu, — ale brak zbliżenia, zżycia i zrozumienia wzajemnego: widzi się chłód, a nieraz i niczem nie uzasadnioną niechęć do piastowskiej dzielnicy.

Przyczyna takiego stanu tkwi głównie w odmiennej od reszty Polaków psychice Wielkopolan. Coprawda w czasie wielkiej wojny i po niej powstało wiele punktów spornych, które wzajemny antagonizm powiększyły. Wspomnę dla przykładu sprawę obsadzania przez sanację wyższych stanowisk urzędniczych w Wielkopolsce prawie wyłącznie przez ludzi z innych dzielnic. Z drugiej strony i Wielkopolanie potrafili grzeszyć nieprzystępczością i chęcią imponowania cywilizacją materialną Polakom z innych stron.

Na odmienność psychiki Wielkopolan zwrócił uwagę ks. Baranowski w książce p. t. „Wielka tajemnica psychiki Narodu Polskiego", a potwierdza to historia i potoczne odczucie.

Ujmując rzecz w dużym skrócie, wydaje mi się, że najistotniejszemi cechami wyróżniającemi Wielkopolan są: ich flegmatyczny temperament, gruntowny, a przedewszystkiem budujący w silnem oparciu o rzeczywistość umysł (poznańczyk, jeśli fantazjuje — czyni to tak niewprawnie, że odrazu widać, iż to nie jego „specjalność"). Ma też duże trudności z uzewnętrznianiem uczuć, a jeśli chodzi o wolę — to wierzy raczej w swoją wytrwałość, aniżeli w zdolność szybkiej decyzji.

Trudno jest określić, które z tych cech są własnością dawnych mieszkańców kresów zachodnich, a które wytworzyły się dzięki warunkom geopolitycznym jak n. p. sąsiedztwu Niemiec i bliskości morza. Osobnem także jest pytaniem — o ile na utrwalenie takiego charakteru Wielkopolski wpłynęła specjalna budowa społeczna tej dzielnicy, budowa, w której, (jak nigdzie indziej w naszym kraju), polski stan mieszczański jest bardzo silnem przęsłem.

Niewątpliwa jest odrębność psychiki Wielkopolan i niewątpliwem jest także, że dla Polaków z innych dzielnic typowe są cechy charakteru, odmienne od tych, które wymienialiśmy, określając mieszkańców ziem zachodnich — stąd trudności szczerego i bezpośredniego porozumienia, stąd nieufność a nawet odosobnianie się Wielkopolski. Wydawaćby się mogło, że porzuciła ona myśl promieniowania swoją tężyzną narodową i czystością kultury na inne dzielnice, co jeszcze kilka lat temu z powodzeniem czyniła. Obecnie, poza akcją osiedleńczą, ziemie zachodnie nie próbują innego oddziaływania. Tymczasem takie wyjście z narodowego ghetta, rozszerznienie rezerwatu polskości było bardzo dobre, a i dziś przydałoby się nadzwyczaj i Wielkopolsce i Polsce.

Nie daję bynajmniej poznańczykom monopolu na nacjonalizm. Są w Polsce całe okręgi, gdzie jest on o wiele bardziej dynamiczny, a nieraz i dużo głębszy, niż na ziemiach zachodnich, ale możemy wyraźnie stwierdzić, że Wielkopolska i Pomorze — to są dwie duże dzielnice, w których jest narodowy styl życia społecznego, politycznego i kulturalnego. Tam ideologia narodowa panuje, a Stronnictwo Narodowe i ludzie z niem współdziałający — urządzają wszelkie dziedziny, w myśl tego właśnie narodowego stylu.

Trzeba wiedzieć, że zwycięstwo Stronnictwa Narodowego w dniu 18 grudnia niemal we wszystkich miastach Wielkopolski i Pomorza, które w tym dniu wybierały rady miejskie — to nie było właściwie zwycięstwo agitacji partyjnej, ale to był naturalny wynik długoletniej uprawy politycznej społeczeństwa kresów zachodnich, a przedewszystkiem był to skutek zespolenia się tego społeczeństwa z organizacją, która kierowała niem jeszcze w czasach zaborczych, później w czasie zbrojnego powstania, a po wskrzeszeniu Polski — poprzez burzliwe lata sejmowładztwa i uciążliwe: „sanacji moralnej".

Nic tak nie łączy ludzi jak wspólna praca, a zwłaszcza, jeśli się widzi u tych, którzy tą pracą kierują — przejrzyste, celowe dążenie i gdy się ma dowody konsekwencji, nieustępliwości i bezinteresowności: wówczas rodzi się zaufanie, wierność i takie jakieś podświadome uznanie tej ideologii i organizacji za coś bliskiego, niemal własnego. Mogą wprawdzie przewiewać podmuchy czerwonego radykalizmu czy też służalczości i wygodnictwa — ale to będą tylko zmącenia powierzchowne, które narodowego nurtu nie zbrudzą.

Wielkopolska może być dumna ze zwycięstwa, pamiętając, że zdobyła je pracą. I pracą tylko może być ono utrzymane. A na przyszłość niechaj pamięta, że trzeba talenty swoje hojnie po Polsce rozrzucić, bo jeśli nawet nie są one przyjmowane takiem sercem, jakiem być powinny— powodem tego raczej odmienność usposobień a nie złośliwe uprzedzenia.

ZDZISŁAW WARDEJN

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

„Praca na morzu". Miesięcznik oficerów polskiej marynarki handlowej. Gdynia. Rok I. Nr. 1.

Z dniem 1 stycznia r. b. zaczął wychodzić w Gdyni pierwszy polski miesięcznik oficerów naszej marynarki handlowej, zapełniając w ten sposób dotychczasową lukę w naszem piśmiennictwie periodycznem. Czasopismo, jak tytuł wskazuje, poświęcone jest zagadnieniom, z któremi spotyka się nie tylko oficer nawigacyjny lub mechanik na statku, lecz również i tym sprawom, które dotyczą eksploatacji morza, a które wchodzą do zakresu przedsiębiorstwa żeglugowego czy rybackiego. Tak szerokie ujęcie stoi w ścisłym związku z uruchomieniem w Państwowej Szkole Morskiej nowego wydziału transportu i administracji morskiej, mającego dostarczać wykwalifikowanych specjalistów z dziedziny maklerstwa, spedytorstwa, prowadzenia przedsiębiorstw morskich i t. d. Z pośród artykułów fachowych wysuwają się na czoło: „Pojęcie winy w kolizjach, a ubezpieczenie

morskie" mgr. B. Wojtasa, „Artykuł 16" (o ruchu statku podczas niepogody) kpt. w. ż. S. Gorazdowskiego, „Rola oficera-mechanika okrętowewe przy projektowaniu i budowie nowych maszyn morskich" J. Stępienia oraz szereg krótkich informacyj z zakresu elektrotechniki okrętowej inż. S. Poradowskiego. Doskonałem wprowadzeniem *in medias res* naszego szkolnictwa morskiego jest obszerne streszczenie sprawozdania o działalności Państwowej Szkoły Morskiej, które wygłosił w dniu święta tej szkoły (8 grudnia) jej obecny dyrektor, kpt. w. ż. Stanisław Kosko, autor opisu pierwszej polskiej podróży naokoło świata p. t. „Przez trzy oceany".

Pierwszy numer miesięcznika wywiera nader dodatnie wrażenie i życzyć należy, aby następne utrzymały się na takim samym poziomie. (W. H.)

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrodę literacką dla młodych pisarzy Akademia Literatury w tym roku przyznała p. Jerzemu Andrzejewskiemu za powieść „Ład Serca".

Z TEATRU

GRUBE RYBY

Teatr Narodowy: „Grube Ryby". Komedia w 3-ch aktach Michała Bałuckiego. Reżyseria Aleksandra Zelwerowicza. Dekoracje wykonał A. Pronaszko.

KILKA komedii Bałuckiego weszło do żelaznego repertuaru. Mamy na myśli „Dom otwarty", „Krewniaków", „Klub kawalerów", „Radców pana radcy" i „Sąsiadów". No i, naturalnie, „Grube Ryby". Bałucki był niewątpliwie jednym z najczęściej grywanych naszych autorów. Jego komedie zna cały naród. Widywała je od kilku pokoleń najwybredniejsza, najwykwintniejsza publiczność na pierwszych scenach Krakowa i Warszawy, w obsadzie sławnych na cały wiek artystów. Grywały je setki razy zespoły wędrowne, teatrzyki ludowe, szkolne „trupy" amatorskie.

Jaka zaleta Bałuckiego pozyskała mu tak szerokie audytorium? Ponieważ „Grube ryby" zostały napisane w 1883 r., a inne sztuki przeważnie wcześniej, zatem wyręczymy się tutaj opinią współczesnego ich krytyka, świetnego historyka literatury polskiej. Piotr Chmielowski tak pisze o komediach Bałuckiego w „Zarysie najnowszej literatury polskiej" (Wyd. w r. 1895): „...mają raczej cechy fars, niż komedyj: akcja jest niezmiernie ruchliwa, ale nie zawsze umotywowana, często nieprawdopodobna; charaktery są w karykaturze przedstawiane; gonienie za trywialnemi efektami, za tłustemi konceptami, zbyt rażące. Śmiech, obudzony przez nie, jest silny, rubaszny, ale chwilowy tylko; po bliższym namyśle, doznaje się pewnego niesmaku. Postaci dodatnie są sztywne, ogólnikowe, kaznodziejskie, nie mają życia; są poprostu wymysłem autora, który chciał wypowiedzieć morał".

Ta surowa charakterystyka nie może nam, oczywiście, tłumaczyć... powodzenia Bałuckiego we wszystkich warstwach publiczności. To też Chmielowski, jeden z najobiektywniejszych krytyków swej epoki, tak się poprawia:

„Bądź co bądź, komedie Bałuckiego wywołują śmiech szczery i zdrowy, dający chwilę wytchnienia umysłom znużonym i przygnębionym (podkr. nasze). Wprowadziły one do teatru kilka charakterów świeżych, których dawniejsza komedia nie znała, gdyż wytworzyły się one wśród stosunków najnowszych".

Oto sekret powodzenia Bałuckiego. Humor, niewinny i zdrowy, nastrój pogodny i beztroski. To wszystko zresztą nie bez utalentowanego majsterstwa, a bezwarunkowo z dużym poczuciem sceniczności.

Chmielowski miał rację; zaletą, która decyduje o popularności fars Bałuckiego, jest to wytchnienie, jakie dają one „umysłom znużonym i przygnębionym". Można stąd wysnuć przyczynek do charakterystyki społeczeństwa: dużo mamy dziś w Polsce ludzi, którzy noszą w sobie duchowe piętno kryzysu gospodarczego, a jeżeli chodzą do teatru, to według tej zasady, którą kieruje się zawsze *profanum vulgus*: ja mam dosyć tragedii w życiu!

Temu więc tłumowi, robiącemu „kasę", dogadza Bałucki, ale już mniej Wyspiański. Podoba się Fredro — ale nie podoba się Żeromski. Pociąga go Ryszard Ruszkowski („Jadzia wdowa") z uzupełnieniami J. Tuwima, ale już mniejszą siłę atrakcyjną wywiera np. Nowaczyński, lub Szaniawski, czy nawet Roztworowski. To niepochlebne świadectwo kultury artystycznej i świeżości umysłów w naszej warstwie inteligenckiej popierają jeszcze liczby, określające powodzenie sztuk zagranicznych.

Bałucki zaś podoba się licznym rzeszom, ponieważ jego komedie nie wymagają od widza nieomal żadnego wysiłku. Są to farsy — i to tak lekkie i przejrzyste w budowie, że widz, pierwszy raz je oglądając, już po pierwszym akcie wie, jakie będzie rozwiązanie — i nie spotykają go żadne niespodzianki.

Rzecz zbudowana jest, powiedzmy, wedle zasady: trzy po trzy. Są trzy pokolenia, a każde z nich ma trzech przedstawicieli.

Z pokolenia dziadków na I plan wysuwa się Onufry Ciaputkiewicz. Tę rolę objął sam reżyser, Al. Zelwerowicz. Czy pamiętacie państwo „Gęsi i gąski" wystawione w tym samym Teatrze Narodowym, wyreżyserowane i w głównej roli zagrane przez tegoż Zelwerowicza? Otóż — jak wtenczas Kłopotkiewicz, tak dziś Ciaputkiewicz nie mógł sobie znaleźć w Warszawie lepszego inkarnatora, niż Zelwerowicz.

Dorotę, żonę Ciaputkiewicza kreuje Maria Dulęba. Trzeba przyznać słuszność recenzentom, że Dulęba posunęła zramolenie Doroty aż gdzieś blisko granicy uwiądu starczego. Tymczasem wypadało włożyć w tę rolę więcej głośnej ekspresji i życia.

Trzeciego staruszka, Filipa, zagrał zupełnie dobrze Ludwik Fritsche.

Do pokolenia „ojców" należą (z wieku, a nie z faktu ojcostwa) — przedewszystkiem obie „grube ryby", Wistowski i Pagatowicz. Pierwszego grał J. Leszczyński, drugiego St. Stanisławski. Ci dwaj główni w Warszawie aktorzy stworzyli parę znakomicie zabawną, stanowiąc wciąż na scenie ośrodek komizmu. Epizodyczną niedorozwiniętą rolę Burczyńskiego powierzono W. Brydzińskiemu; w ten sposób artysta sobie nieco odpocznie, a do kolekcji dobrych nazwisk aktorskich dodano na afiszu jeszcze jedno.

Teraz generacja najmłodsza: Alina Żeliska, Jadwiga Kurylukówna i Mieczysław Milecki — młodzi, sympatyczni, starannie przygotowani i wielce obiecujący artyści. Niech tylko zwracają uwagę na pielęgnowanie czystości wymowy i dźwięczności głosu.

T. D.

MADAME SANS GÊNE

Madame sans gêne. Komedia w 3 aktach Wiktoryna Sardou, w Teatrze Letnim. Przekład Ludwika Wasilewskiego. Reżyserował Roman Niewiarowicz. Dekoracje Stanisława Jarockiego.

W ROKU 1925 „Madame Sans Gêne" wystawiono w Teatrze Polskim w Warszawie. Była to najważniejsza z ostatnich inscenizacja tej komedii. Oparto się wtedy na przekładzie Kazimierza Erenberga. Reżyserował Karol Borowski. Dekoracje skomponował Karol Frycz. W roli Katarzyny Mme Sans-Gêne wystąpiła M. Przybyłko-Potocka. Sierżanta grał B. Samborski, Fouché'go — W. Gawlikowski, Hr. de Neipperga — L. Łuszczewski. W roli Napoleona wystąpił Stanisław Stanisławski.

Widowisko wznowiono po kilkumiesięcznej przerwie w lipcu roku 1926. Widocznie p. dyr. A. Szyfman uznał; że po przewrocie majowym sztuka nabrała pewnych cech aktualności. Dano wówczas 13 przedstawień, w której to liczbie dowcipny fejletonista mógłby dopatrywać się znowu reminiscencyj kabalistycznych oraz aluzji do aktualnych ludzi i bieżących wydarzeń. Ogółem komedię grano w Teatrze Polskim 68 razy, co było wtenczas znacznym sukcesem.

Obecnie w Teatrze Letnim w roli tytułowej występuje Irena Eichlerówna, budząc powszechne uznanie. Bardzo dobry jest Stefan Hnydziński, jako sierżant Lefèbvre. Jest to jeden z niewielu artystów, którzy dziś potrafią grać role zawadiackie, awanturnicze, wojskowe. Roman Niewiarowicz dał kreację genialnej kreautury Fouché'go. Czy nie przejaskrawił groteskowości? W roli hr. Neipperga wystąpił Aleksander Żabczyński, dając, wedle potrzeb komedii, sylwetkę szlachetną i wytworną. Królowę Karolinę gra Wanda Jakubińska, księżnę Elizę — Mira Grelichowska.

„Madame Sans Gêne" jest i zapewne pozostanie jednem z najlepszych widowisk sezonu.

T. D.

Z SALI ODCZYTOWEJ

PROBLEMY GOSPODARKI NIEMIECKIEJ

DWA są zasadnicze systemy [1]) gospodarki w państwach kulturalnych. Jeden panuje mniej więcej w basenie oceanu Atlantyckiego i obejmuje państwa Ameryki, na czele ze Stanami Zjednoczonymi A. P., oraz państwa europejskie, jak Francja, Holandia i kraje skandynawskie.

Najbardziej typowy wyraz ten system osiągnął w Anglii. Jego znamienną cechą jest oddziaływanie na kształtowanie się rentowności przez banknoty, dewizy i t. d. Jest to metoda oddziaływania „generalnego"; przez naciśnięcie jednego guziczka usiłuje się regulować całe życie gospodarcze. Główna więc rola przypada tutaj kierownikom banków emisyjnych. Ta metoda jest stosowana w krajach bogatych o dużych rezerwach złota.

Drugi system kształtuje się raczej w państwach dłużniczych, mających małe rezerwy złota, w państwach, których zapasy dewiz są uzależnione od bilansu handlowego. Tu usiłuje się gospodarować przy stałej sile nabywczej pieniądza. Do znamion tego systemu należy b. duży aparat reglamentacyjny, oderwanie poziomu cen wewnętrznych od międzynarodowych, oraz dążności autarkiczne. Ten system, jeśli chce go się zrozumieć, wymaga przemian w metodzie myślenia gospodarczego. My, wykształceni na t. zw. ekonomii klasycznej, przyzwyczailiśmy się do kategorii automatyzmu gospodarczego. Tymczasem w kilku państwach formuje się już inna metoda — dynamiczna, której podstawą jest polityczna ideologia „sprężonej woli" zbiorowej.

Te nowe zjawiska w najbardziej typowem wyrazie występują obecnie w Niemczech.

Hitler doszedł do władzy w 1933 r. Wtedy w Niemczech było 6 mil. bezrobotnych, co oddziaływało depresyjnie na całe społeczeństwo. Było rzeczą jasną, że ten będzie w Rzeszy panował politycznie, kto tym bezrobotnym da pracę, kto im wskaże cel życia.

Kanclerz Hitler podkreślał, że nie jest ekonomistą, tylko kieruje się zdrowym rozsądkiem. Jeżeli są ręce robocze, urządzenia wytwórcze i możliwości sprowadzenia surowców, to są wszystkie czynniki, potrzebne do uruchomienia produkcji. Brakuje tylko w o l i. Narodowy socjalizm wystąpił przeciwko doktrynie klasycznej, która przez ideę automatyzmu rozkładała ten czynnik woli.

Teraz przychodzą fachowcy ekonomiści i precyzyjnie budują system gospodarki. U podłoża nowej polityki ekonomicznej leżała koncepcja „twórczej roli deficytu budżetowego". Przedtem Brüning dążył do zrównoważenia budżetu za wszelką cenę. Ale gdy panuje zastój w przemyśle, gdy ustawicznie zwiększają się (w ogólnej sumie) zapomogi dla bezrobotnych, wtedy zrównoważenie budżetu jest niedoścignionym mirażem.

Trzeba więc było najpierw zwiększyć ruch inwestycyj, renowacji urządzeń, ożywić zapotrzebowania i t. d. A pokrycie deficytów? Na to pójdą pieniądze z wpływów podatkowych, które muszą wzrosnąć, jeżeli wzrośnie wytwórczość.

To był I etap; „p r z e ł a m y w a n i e d e p r e s j i", inicjatywa, wywołanie ożywienia w życiu gospodarczem.

II etap był okresem w i e l k i e j a k c j i d o z b r o j e n i o w e j, okresem kolosalnych zamówień dla przemysłu wojennego. Ten etap trwał przez 1935 i większą część 1936 roku.

III etap obejmował realizację „planu czteroletniego". Oprócz tego kanclerz Hitler zapowiedział wielkie projekty przebudowy Hamburga, Monachium i Berlina.

Ażeby przełamać depresję, rozpoczęto na wielką skalę inwestycje samorządowe i państwowe (np. autostrady, które były bodaj osobistym pomysłem Hitlera). Inicjatywę prywatną pobudzano np. przez finansowanie ruchu budowlanego. Do tego celu służyły krótkoterminowe operacje finansowe, w których angażował się bezpośrednio skarb państwa (emisje i t. p.), oraz operacje, w których państwo angażowało się pośrednio, przez instytucje. Następnie, drogą konwersji pożyczek wewnętrznych, zamieniano zadłużenie krótkoterminowe na długoterminowe.

Rząd wskazuje coraz to nowe cele inwestycyjne i dokoła nich usiłuje zmobilizować całą energię gospodarczą i społeczną. Niemcy to kraj wielkich przemysłów, wytwarzających środki produkcji, przemysłów inwestycyjnych. Przed wojną te przemysły miały zagraniczne rynki zbytu; dziś muszą się ograniczać tylko do rynków wewnętrznych.

Schacht ciągle podkreśla, że tendencje autarkiczne są tylko koniecznością polityczną, ale Niemcy muszą znów wejść na rynki międzynarodowe. Do tego dążą wszelkiemi siłami. Stąd żywa wymiana z krajami bałkańskiemi. Stąd dążenie do zdobycia kolonii. Stąd — wielkie plany wschodnie. Wszystko to ma na celu zdobycie terenów do inwestycyj.

W okresie Stresemanna budowano z a p o ż y c z k i a m e r y k a ń s k i e r z e c z y n i e r e n t u j ą c e s i ę, np. stadiony sportowe. Obecnie Niemcy z a p o ż y c z k i w e w n ę t r z n e r o b i ą i n w e s t y c j e p r o d u k c y j n e.

Sposób finansowania inwestycyj publicznych w Niemczech (najpierw operacje krótkoterminowe, potem to zadłużenie usiłuje się skonwertować na długoterminowe) — stał się systemem od r. 1934.

Jakie są niebezpieczeństwa tego systemu? Takie ożywienie może spowodować pewne przerosty, załamania się rentowności, którą się wywołało, bankructwa.

Załamanie się rentowności może nastąpić naskutek przemian rynkowych, cen, płac, stopy procentowej i t. d.

Wysuwa się więc tutaj cały szereg skomplikowanych zagadnień regulowania poszczególnych wielkości rynkowych.

Przedewszystkiem trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem wzrostu cen; od tego wzrostu cały system polityki gospodarczej mógłby runąć. Załamała by się bowiem rentowność w przedsiębiorstwach prywatnych, co pociągnęłoby za sobą pokrzyżowanie planów inwestycyjnych.

Dalej z cenami wiąże się problem pieniądza. Ze wzrostem cen nastąpiłoby załamanie się zaufania do marki, jako

[1]) Piszemy sprawozdanie z odczytu prof. dra Świaniewicza. Odczyt urządzony staraniem Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków Polskich został wygłoszony w sali Banku Gosp. Kraj. w dniu 16 stycznia. W końcu sprawozdania notujemy, nie podając nazwisk mówców, najważniejsze głosy dyskusji; oddzielamy je od siebie krzyżykami.

do miernika wartości. W rezultacie wywiązuje się ucieczka od pieniądza do walorów rzeczowych. Wzrost cen — to wywołanie świadomości, że w Niemczech jest inflancja, jaka była po wojnie.

Wrost dochodu jest akumulowany. Te właśnie akumulowane dochody są w znacznej części ulokowane w bankach. W następstwie podwyższenia się cen i obniżenia zaufania do pieniądza, rozpoczętoby wycofywać wkłady z banków i w rezultacie wywiązałaby się cała typowa sytuacja inflacyjna. Niema więc innego wyjścia, tylko zaprowadzić olbrzymi aparat reglamentacyjny do regulowania cen.

Tymczasem wiadomo, że wzrost cen ma pewne uzasadnienie we wzroście popytu; ceny rosnące są czynnikiem, regulnjącym popyt. Zatem uniezależnienie cen od popytu i utrzymanie ich środkami administracyjnemi na pewnym poziomie powoduje kwestię racjonowania pewnych dóbr, kwestię przydziału surowców i t. d. Trzeba tworzyć jakieś fundusze wyrównawcze i t. p.

Następnie wysuwa się problem płac. Wzrost płac musiałby spowodować wzrost cen. Jeśli zaś cen podnosić nie wolno, wtedy grozi wykupienie i brak pewnych dóbr konsumcyjnych. Aby temu zapobiec, państwo musi regulować konsumcję, przez wprowadzenie częściowego, „kartkowego" systemu zaopatrywania ludności w środki konsumcji. Przypomina to zewnętrznie sytuację powojenną.

Ponieważ jest duża podaż kredytu bankowego, stąd wynika problem uregulowania inwestycyjnego. Wprowadzono np. zakazy inwestowania w pewnych dziedzinach wytwórczości, aby inicjatywę inwestycyjną skierować w odpowiednie łożyska.

Jak długo może trwać cały ten system? Jeżeli niebezpieczeństwa, które tutaj wymieniliśmy, będą omijane, to problem sprowadzi się do wzrostu ciężaru długów publicznych. Chodzi zasadniczo o stosunek długów publicznych do dochodu społecznego. Do dziś tempo wzrostu dochodu społecznego było takie, że ciężar długów publicznych nie był odczuwany. Ale co będzie dalaj? Ewolucja stosunków idzie w kierunku niepomyślnym. Może dojść do tego, że ciężar długów publicznych będzie nie do zniesienia.

Jeżeli Niemcy zrealizują swe plany polityczne, jeżeli odzyskają kolonie, zdobędą przez realizację planu wschodniego olbrzymie tereny inwestycyjne w Rosji, opanują całkowicie gospodarczo Bałkany przez wyparcie z nich kapitału angielskiego, — to będzie wszystko dobrze. Ale jeżeli się to Niemcom nie uda, jeżeli te wielkie plany polityczno-gospodarcze nie zostaną osiągnięte? Dotąd prawie nic z tego nie zrealizowano. Przyłączenie Sudetów i Austrii nie polepszyło gospodarczych widoków Niemiec. Zwłaszcza Austria, której przyłączenie było raczej sprawą polityczną, zwiększyła tylko trudności ekonomiczne Rzeszy.

Gdy więc po pewnym czasie Niemcy nowych terenów inwestycyjnych nie zdobędą — czy należy spodziewać się katastrofy w Rzeszy? Wtedy Niemcy będą sztucznie zmniejszały ciężar długów publicznych. W pewnej chwili np. państwo przestanie płacić procenty od swych obligacji. Może do tego dojść drogą np. jakiejś uchwały lub plebiscytu.

Jaka z tego nauka dla nas?

Czy nie nie możemy ożywić naszej gospodarki drogą zastosowania wzorów niemieckich: finansowania krótkoterminowego?

Ale w jakim momencie rozpoczęły Niemcy stosować tę metodę? Nie w okresie kryzysu, ale i w okresie depresji pokryzysowej, po likwidacji szeregu przedsiębiorstw, umorzeniu długów niewypłacalnych dłużników i t. p. Były m o ż l i w o ś c i i n w e s t y c y j n e, tylko nie było z a u f a n i a. Były m o ż l i w o ś c i l o k a c y j n e, tylko brakowało p ł y n n o ś c i.

×

Główne cechy gospodarki niemieckiej to: inflacja na cele produkcyjne, regulacja cen i regulacja płac, za czem idzie potrzeba regulowania całego szeregu współczynników cen. Stąd wzrost biurokracji.

Wzrost zadłużenia jest większy, niż przyrost dochodu narodowego. Jest to gospodarka typowo wojenna (?). Z dalszych znamion i następstw tego systemu wypadnie wymienić rozbudowanie biurokracji. Następnie — ograniczenie inwencyjności wynalazczej. Gospodarka narodowo-socjalistyczna prowadzi do niebezpiecznych konsekwencyj politycznych i może wywołać wojnę w Europie. Tembardziej, że rozwija się także niemiecka ideologia nacjonalistyczna, polegająca m. i. na zbieraniu ziem niemieckich. Wszakże jedynem z największych niebezpieczeństw, jakie będzie w przyszłości groziło Niemcom, jest z m ę c z e n i e p s y c h i c z n e, które może załamać cały ogranizm narodu.

×

Dług państwowy Rzeszy wynosi 25 miliardów, co nie jest dużo, jeżeli się zważy majątek narodowy i dochód społeczny Niemców. Dochód społeczny Niemców jest jednak większy, niż wzrost obciążenia. Dochód z pracy jest ten sam, ale dochody przedsiębiorcze wzrosły i one są najbardziej obciążone. Stosunek dochodu społecznego do obciążenia dotychczas jako tako dopisuje.

Inwestycje polityczne będą z reguły nierentowne i nie potrzebują być rentowne. Tutaj mamy na myśli likwidowanie bezrobocia, tworzenie armii, fortyfikowanie granicy zachodniej (to np. kosztowało 4 miliardy marek).

Schacht nie był autorem koncepcji o „twórczej roli deficytu budżetowego"; on raczej przeprowadził myśl o twórczej roli ingerencji państwa. Stawianie coraz to nowych celów inwestycyjnych także nie jest wynalazkiem Niemców. System finansowania w Rzeszy n i e j e s t d o k t r y n a l n y, n i e w y n i k a z „z a s a d" g o s p o d a r c z y c h, t y l k o z k a ż d o r a z o w e j s y t u a c j i.

G ł ó w n y p r o b l e m g o s p o d a r k i n i e m i e c k i e j l e ż y w k o s z t a c h u t r z y m a n i a, c z y l i w s t o p i e ż y c i o w e j. Sprawę redukcji stopy życiowej, którą w Rosji załatwiono brutalnie, w Niemczech przeprowadza się stopniowo i b. ostrożnie.

C i ę ż a r t e j g o s p o d a r k i p o l i t y c z n e j (nie w o j e n n e j!) p ł a c i w p e w n e j m i e r z e k a p i t a ł; p r z e d e w s z y s t k i e m z a ś p ł a c i c z ł o w i e k, w postaci zmniejszenia standartu życiowego. Innej sztuki nikt nie wymyślił. Niemcy 36 miliardów marek poprostu nie dojedli i „niedoubierali" się. Ale sztuka tak zorganizować naród, aby był z tego zadowolony. Robotnik w Niemczech czuje, że go szanują, że interesują się nim, że dbają o jego zdrowie i życie kulturalne.

(VIR)

NA MARGINESIE

Mamusiu, czy ja będę m o g ł o pójść dzisiaj do kina?— któregoś dnia w pewnej kupieckiej rodzinie we Lwowie zapytała swej matki dziesięcioletnia Zosia, słodkie i pojętne dziecko, które pilnie uczyło się gramatyki i nauczyło się dobrze, że „dziecko" jest rodzaju nijakiego. Było to w niedalekiej przeszłości w niepowrotnym okresie t. zw. asymilacji, gdy żydzi usiłowali mówić po polsku idealnie poprawnie.

*

P. Janusz Jędrzejewicz, b. premier i b. minister oświaty wydał książkę: „W Krainie Wielkiej Przygody". Książka bardzo ciekawa i bardzo pożyteczna. Widać z niej doskonale czem mogą być nasi ministrowie, względnie co bywa naszymi ministrami.

Należy spodziewać się, że napisze książkę i p. Wacław.

(m)

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.